

Adam Kielbasiewicz



Spotkania

Cieszyn 2010
Jaworzynka-Śliwkula 2012

Sobie Pisanie

T. IX²

Spotkania



Copyright © Adam Kielbasiewicz

*Cieszyn 2010
Jaworzynka-Śliwkula 2012*



Spotkania

Zawędrowałem dzisiaj ot jakoś tak
Zupełnie aż na koniec świata
Sto metrów stąd tam w bramie dom
Na Górnym lub Drewnianym Rynku

I był tam zażywny jegomość - Pan Bóg
Co może tam na stałe mieszka
Albo na chwilę tylko wpadł
Był tam jak to na końcu świata

I spacerował wolno to tu to tam
Tu zmarszczył brwi tam wąż podkreślił
Głową kiwnął widząc mnie rzekł
Normalnie, eh... to koniec świata

Ciche puk-puk
Do serca drzwi
Wyrwało mnie ze snu o sobie
To przyszła M.
Nieśmiało tak
Lecz spontaniczna i radosna

Pod czarem jej
Uroczych słów
Gestem szerokim zapraszam w dom
Ale co jest
Bliźniaczka O.
Bezwstydnie wprasza się w gościnę

Humor mi padł
Bo widzę że
Kontrakt szykuje się wiązany
Więc byle czym
Zasłaniam się
Uciekam szybko byle dalej

Jak różę daję Ci kaktusa
Koniecznie zielony i z kolcami
Takiego właśnie jakim być powinien
W nim razem zamykam całe me uczucie

Zamykam miłość tęsknotę i troskę
I wiem że tylko Ty zrozumieć mnie możesz
Bo tylko dla Ciebie
Mój kaktus to róża

Uśmiech mi posłałaś
Dyskretnie
Nieśmiało
Więc i mi wypadało
Uśmiechnąć się miło
Zachęcająco
Życzliwie

Czasami
Tak można sobie
Stać tylko
I tak tylko uśmiechać się
I tylko do siebie

Tak bez słów żadnych
I bez dotyku
Z daleka
Ciarki czując na plecach
Na samą myśl o tym
Że to zwykle uśmiechanie
Może się kiedyś skończyć
Czasami już za chwile
Przecież
Zawsze za szybko

Chciałbym mieć taki dom
Wybudowany własnymi rękami
I Twoim uśmiechem

Dom pełen dzieci z ich radością
Pełen psa szczekania i kota mruczenia

Kominek chęć i prosty stół
Zwyczajny mocny lecz serdeczny
I gromadzący w czas wieczery

Budzić chęć Was rano
I kładąc spać całować w czoło
Chcę kochać Was i o Was dbać
Dopóki śmierć nas nie rozłączy

Janowi Pawłowi II
Na moment śmierci

Tata poszedł do nieba
Nie, proszę Pani
Nie umarł, proszę Pana
Lecz po prostu poszedł
Tak jak się idzie tylko do nieba
Spokojny
Radosny
I uśmiechnięty
Więc proszę bardzo
Również się nie bać
Bo proszę Pani
I proszę Pana
Tata nasz poszedł tylko do Taty

Rozchybotana świeca w mroku
Lub stary kaganek
Jeśli jeszcze nie sprzedany
Chleb ledwie napoczęty
A już brudem czerstwy
Zimny talerz zakąsek
I butelka wódki bez nazwy
Do reszty wykapaną
Obok dwa *stakany*
Na obrusie z ceraty
Prymitywnej imitacji koronki białej
Z nieregularną dziurą niechlujstwa
Wypaloną papierosem
Zapomnianym przez pijaństwo
Ołtarz popularny
Zagubionych
Chorych ludzi

Gdy wszedłem
Już siedzieli

Mężczyzna pierwszy z brzegu
Widać że wiekowy
Dziadek

Potem kobieta
Być może czyjaś żona
I matka zagoniona
Obrączkę widać
Siatki z zakupami

Dalej jakiś ksiądz siedzi,
Wikary albo pleban

Młodzieży rząd,
Aż siedem rozgadanych twarzy

Biznesmen też jakiś taki
Albo prawnik
Lub inna gruba ryba
Nieśmiały lub nieprzystępny
Z boku się schował
Za gazetą wielką
Czarnobiałą

Na końcu dziewczynka
Może pięcioletnia
Razem z młodą mamą

To wszyscy
I ja oczywiście
Teraz już razem z nimi
Czekam na swoją kolej

W codziennym życiu różne role gramy
Jesteśmy wielcy i jesteśmy mali
Biedni lub bogaci
Mądrzy prostaczkowie
Ważni jesteśmy oraz myszki szare
Różni wszyscy a przecież tacy sami
Zrównani
Nie tylko przed Bogiem
W porządku wiecznym
Lecz i teraz
Przed tymi oto drzwiami
Siedząc w poczekalni
Lekarza okulisty
Bo wszyscyśmy po trochu
Ślepi
Ułomni
I niezaradni

Sformalizowane słowa
Jak w słoikach w laboratorium szpitalnym
Zanurzone w formalinie konwencji
I jedynie słusznych modeli zachowań
Umarłe szkielety bez treści
Organy zakonserwowane bez życia
Zabalsamowane narządy bez sensu istnienia
Kto ożywi zwykłe słowo
Kocham
Kto tchnie nowe życie w wyznanie
I tęsknię
Kto wskrzesi
Za Tobą

Ot paradoks taki
Co dzisiaj śmietnikiem
Jutro kulturą być może
Tysiącletnim jutrem
Garbem przykryte ziemi
Skarbem zostać może
Odkrywanym z pietyzmem
Z czułością nabożną
Zamierzchłej świadek kultury
Albo nawet jej braku

Ja kłamię
A jeśli ja
To Ty również kłamiesz
A więc nie ma zmiłuj
Wszyscy się okłamujemy
I nie ma komu już zawierzyć

Tak wzajemnie odpływamy
Oddalamy się od siebie
Kłamstwem jednym takim małym
Tak powoli zabijamy
Przyjaźń miłość, zaufanie
Pozostaje tylko fałsz

Już pierwszym swoim kłamstwem
W samotności kraj wkraczamy

Plotka
Pół-
Ćwierć-
Lub jeszcze mniej

Prawda
Wysepleniona zazdrośnie
Przez sto
I więcej gęb

Do uszu głuchych
Na miłość

Słowa kwaśne
Cedzone
W prostackie twarze
Zarozumiałych głupców
Zawiedzionych kochanków
Zawistnych i złych ludzi

Szcześć Boże!
Boże pomóż!

Twardą podał dłoń
Zakręcił wąż
Zagadał coś
O kij się wsparł
Gwizdnął na psa
Roześmiał się
Znowu coś rzekł
I poszedł hen
Zwykły dobry człek

W Szarej Przystani
Codzienności
Podniosła kotwicę
Drużyna Pierścienia
On już pochylony
Dźwigał ósmy krzyżyk
Ona siedemdziesiąt
I pięć liczyła wiosen
Jak przez lata szli razem
Wspólnie dzieląc się życiem
W tajemnicy przed sobą
Odejść też chcieli razem

Rzeka pustych obietnic
Szum słów bezbarwnych
Kolorowych szmatek na pokaz
Na wróble strach
O włosach siwych
I oczach szklanych i pustych
Bez wyrazu
I bez tajemnicy
Taka Barbie
Laleczka miłostek nam współczesnych
Z żurnalów mód rodem
Z tanich brukowców
Lub z tasiemców TV

Za tak niewiele
Za garść szklanych paciorków
Zgranych kulek zainteresowania
Zdobyłem litrem ciepłych słów
Przyjaźń zakompleksioną
Nieogoloną
Śmierdzącą
Brudną
Lecz uczciwą
I wierną

Za funt kłaków
I zdradę
Sprzeedam...
Parę mocnych słów
Obietnic garść
I przyjaźń nie skonsumowaną

A Ty...
Tobie tu nic do szukania
Tu nic nie kupisz
Sprzedać też nie sprzedasz
Za słaby z Ciebie gracz
Tu twarda rządzi pięść
Dyktuje co i jak
Kupić sprzedać
Zorganizować

I tak dawać
Aby zbierać

Rozmarzonym wzrokiem
Wodzę za cieniami
Patrząc w głąb jaskini
Odbicia tylko widzę
Grę refleksów kolorowych
Rzucanych na ścianie
Światłem co rozbłyska
Za moimi plecami

I chociaż czuję je za sobą
Tak mocne i tak bardzo żywe
To często sił mi brakuje
Często duch mój słaby
I jak często leniwy
I nie chce mi się odwrócić
Wolę zostać z cieniami

Jak lunatyk na krawędzi dachu
Idę sobie
Spaceruję po wspomnieniach
Czy snach jeszcze może

Prowadzi mnie słaby promień księżyca
Jak po pustej czarnej drodze
Lub telegraficznym drucie
Za kropką i kreską alfabetu morsa
Trzy krótkie trzy długie i znowu krótkie trzy
Tak jakoś to chyba było
Pipipi papapa pipipi...

Spaceruję sobie na krawędzi snu i jawy
W otwartym oknie jeszcze noc
Pod powiekami już dzień duszny
Zaczyna swą gonitwę

Mleczarz ze skrzynką butelek
Górnik z kanapką w gazecie
Kochanek z butami w rękę
Ogonek przed piekarnią
I przed rzeźnikiem
Tłum na przystanku i na peronie
I kilka osób przed drzwiami kościoła
Wypchany autobus
Ciagle w drodze

Schizofrenicznie
Czy tylko melancholijnie może

Lunatycy z otwartymi oczyma
Lunatycy ze wspomnień młodym nie znanych
Nie zrozumianych
Samotnych

Jak księżyc i gwiazdy
O tysiąc lat świetlnych
Odległych

Nie budzić mnie
Proszę

Proza życia długiego
Banał codzienności
Przemijania
Tych co kochają
I tych co zakochują się
W sobie
Na nowo ciągle

Ja Ciebie...
I ja Ciebie też...
Wiesz...
Wiem...
I już nic nie mów
Ten pocałunek jeden wystarczy
Za niejedno zdanie

Staruszkami będąc
Na zawsze młodzi
Zmarszczką pokalani
Piękni sobie

Jak nastolatków para
W dłoni dłoń
Jak żywy ogień
Ich ciepły
Serdeczny
Szept miłości

Uśmiech
Za skarb wystarczy
I uścisk dłoni
Bez słów
Współ-bycie
I współ-odczuwanie
Razem
Jedna droga
Jeden los
Jedno szczęście
I jedna niepogoda

W kawałkach snów
Dni już nie śnione
Od wieków

W okruchach marzeń
Dni co już dziś
Mrzonkami

Twarz Twoja dzisiaj
W zmarszczkach pochowana
Tylko oczy ciepłe
Po dawnemu
Twoje

Księdzu Janowi Twardowskiemu
Na moment przejścia z tej na tamtą stronę

Smutno mi
Bracie Janie

I na kartkę papieru
Łza dziś spadła
Choć zwykle
Kapał atrament

Smutno mi
Bracie Janie

Nie żeś nas opuścił
Boś przecie do Ojca tylko wyszedł
Lecz dlatego że zabrałeś
Ze sobą kałamarz

Przykrość
Ma wiele twarzy
Co krok
To inną spotkać mogę

Ma twarz kobiety
Zwiedzionej słodkim słowem

I grymas ust mężczyzny
Uderzonego ostrą kpina

Dziecka zaś twarzą jest
Gdy niesłusznie skarcone

Ma przykrość twarze różne
I jakby ciągle inne
Jak maski
Lecz również takie same
Zawsze twarze
Smutne

I oczy ma
Zawsze
Podobnie zaskoczone

Tylko my
I na pewno nikt więcej
Wiemy że mamy
Tajemnicę

Dla innych to
Problem
Zagadka
Lub zapytania znak

A dla nas Tajemnica
Głęboka
Misterium prawdziwe
Misterium zakochania

Źle
Gdy drzwi na oścież otwarte
Zamknięte są

Źle
Gdy oczy otwarte szeroko
Są ślepe

Źle
Gdy usta co krzyczą
Zapchane są milczeniem

Żdźbłu trawy
Kłaniał się Prostaczek
Gdy Mędrzec deptał ją
Śledząc ruchy planet

Zachwycił się Prostaczek
Górskim źródłem
I głowę kładł na skale
Gdy mędrzec wiódł dysputy
Nad ich zagospodarowaniem

Prostaczek kochał ludzi
Gdy Mędrzec tylko siebie

Był Mędrzec
I Prostaczek był
Szczęśliwy tylko jeden

Gdy głód
I kromka czerstwego chleba
Warta jest kolacji

Gdy smutek
I słów najzwyczajniejszych para
Staje do rozmowy

Gdy bieda
I proste słowa
I czerstwy chleb
Skarbem bywa
Gdy u bogacza
Koniecznie być musi
Kolacja suta
I rozmowa wyszukana

Marzenia
Spóźnione
Zalęknione
Od dziecka starannie ukrywane
Po polach łąkach i po lasach
Po skwerach, placach i ulicach
Biegają
W przykrótkich podkoszulkach
Na bosaka
Z brudnymi twarzami
I ze łzami w pustych już oczach
Zaniedbane

Mamo...
Wołają cicho
Tato...
Szepczą z ukrycia

Pod huśtawkami
Zaklepujemy swoje życie!

Spałem
I śniłem
I szedłem na jawie
Drogą w góry krętą
I w dolinę ścieżką zawiałą

Pod rękę z uśmiechniętą
Poduszką kosmatą
I z budzikiem przy boku
Wskazówkami wąsatym

Przez mgłę barwy śliwkowej
Przez dymy, przez opary jakieś
Stanowczo już zbyt długo

Gdy wtem wróbel w sztok pijany
Pod nogi nam się zatoczył
Mi, Poduszce i Panu Budzikowi
Zaklął jakoś tak siarczyście
Beknął obrzydliwie tak pijacko głośno
Żem się zaraz obudził

I noc była
Ciemna
Noc spokojna
I samotna taka
Iżby rzec się chciało
Noc codzienna taka
Noc po prostu noc moja

Kasztany na dłoni
Myśli w brązy obleczone

Strzegą
Dzieciństwo
Od zapomnienia

Dzisiaj nazbyt jest wczesnie
Gdy świt już zaczął się kłaść
Gdzieś w niebie

Śpij, sny śnij wszystkich Świętych
Misterium niech w Tobie trwa
Na ziemi

Nie pisze tego dla siebie
Bo piszę za tysiąc lat
Dla Ciebie

Na granicy poranka
Za motylami goniąc
Słów ulotnych
Boso
Z niefrasobliwym
Radosnym
Ha-ha-ha!
I hejże-hola!

Wśród
Traw mokrych
Pocałunkiem rosy
Tulonych chłodem
I cieniem lip złotych

A potem w słońce
Gwałtownie hop!
I skok zrobić

Motyle zostawić
Dalej myśli gonić
Figlarne
Bez troskie
Swawolne
I płoche

Z uśmiechem
Nie na śmierć
Lecz ku śmierci
Całe życie wędrować

I z życiem się mierzyć
I nie zwariować
Lecz dalej się uśmiechać
Iść z pogodą ducha

Nie na śmierć
Lecz ku śmierci
I dalej
Nie mimo śmierci
A przez śmierć samą

Przez śmierć
Do życia

Mam Dom
I w moim Domu ja
Czasami z kimś
Najczęściej sam

I okna ma mój Dom
Wysokie okna dwa
I drzwi ma dom
Szerokie drzwi
Co skrzydła mają dwa

Przed oknem świat
Przed drzwiami świat
Za oknem i za drzwiami ja
Ja sam

Bo Dom swój mam
I okna swoje mam
I drzwi też swoje mam
Ja sam

Otwieram i zamykam je
Gdy chcę
Ja sam

Odkroił mi Pan Bóg
Kawałek terenów zielonych

Gdzie z psem można było wyjść
W piłkę można było pograć
Posiedzieć na ławce
Lub zwyczajnie odpocząć
Za motylami goniąc

I w zamian dał mi Pan Bóg
Kawałek ulicy
Właściwie zaułek ślepy
Przy starej
Brudnej kamienicy

I ludzi tam Bóg mi dał
O dłoniach otwartych
I sercach szczerych
W ich twarzach prostych
Życzliwe dał uśmiechy

Ludzi mi dał Pan Bóg
Ludzi dobrych
Serdecznych

I dobrze że dał
Zamiast rozległych
Prywatnych
Terenów zielonych

Wszyscy biegna
Do szkoły
Do pracy
Do sklepu
Do domu

I na jakieś od dawna umówione spotkania

I tu
I tam
I w tę
I w tamtą stronę

A tu
Panuje życie
Niepodzielnie

I
O dziwo
Rzekłby ten kto goni

Tu
Uśmiecha się pokój
Łagodnie krąży radość

Rzekłby
Gdyby wiedział

Lecz gdyby wiedział
Też by przestał gonić
I też by się tu schronił

Dom

Dach
I cztery ściany

Piec rozpalony
Stół zastawiony
I krzeseł dwie pary

Łóżko
I nocna szafka
I lampka na niej taka zwyczajna

W kuchni lodówka
W łazience lustra
W pokoju miejsce dla TV-bóstwa

Człowiek tu gościem
A gość w dom
Bóg wie po co

Dom...

Nie dom lecz dach tylko
Dach tylko wsparty
O cztery ściany

Diabeł ubrał słońce
Na chwilę
W cierpienie i krew

Już chciałem zamknąć książkę
I koniec powiedzieć
Światło zgasić
I wyjść stąd
Na zewnątrz
Choć już noc

Lecz czemu winna książka
Przybiegła nagle myśl
Na której kartach
Diabeł oblekł słońce
Na chwilę tylko
W czerwień
Czerń
I żółć

Krzyczeć Bogu
Na Boga
Tak bardzo by się chciało

Że dozwolił
Dopuścił
Że dotknął tak srogo

Tak po ludzku
I w pierwszym
Serca gwałtownym porywie
Kamieniem słów ciężkich
Rzucić by się chciało
A tu stanąć trzeba
W Nadziei
Wobec Tajemnicy
Zadając bezustannie pytanie

Boże
Boże dlaczego?

Miłość
Skrzydła dodaje
Rzeczom prozaicznym
I sprawom

Dzięki niej właśnie
Banalne banalnym
Być przestaje

Pod jej dotykiem
Codziennoszare niezwykłym
A takie sobie wyjątkiem
Się staje

Niemal wszystko
Zmienia się
I odnawia

I tylko
Wulgarne
Zostaje
Jak było

Wulgarne

W mojej dłoni
Dłoń Twoja

Pamięć
Wspomnienie
Zapomnienie

Gawędowo
Domowo
Zapachniało

Swojsko

Herbatą jaśminową
Chlebem z powidłami
Pszemno
I śliwkowo

W mojej dłoni Twoja
Cały Świat zamknięty
Na sekundę
Na dwie
Lub trzy

Na chwilę

Lub na tyle
Na ile nam pozwolisz

Cichutko przychodzą
Na palcach
Poranki
Kiedy rodzą się ludzie
O niezbyt pięknych twarzach
O niezbyt zgrabnych rękach
O słabych stopach

Lecz wrażliwych sercach
O życzliwych oczach

Cicho
Cichutko
Gdzieś na uboczu świata
Wchodzi w nasze życie
Dobry człowiek

Dobry to czas

Czemuś taki głupi
Swoje krągłe zdania
Definitywnie kończył kropką
Nie zważając że boli

Czemuś taki głupi
Stalówką jak nożem
Każdym wykrzyknikiem
Serce przebijał i po oczach dźgał

Czemuś taki głupi
Wspomnień ciepłych rozmażywał
Krople pod znakiem zapytania
I nie kończył zdania
Głupi
Dając wielokropek

Czemuś taki głupi
Widząc słowa i zdania
Mnie nie dostrzegał
Ust moich
Moich powiek
Mojego zakochania

Co szeleścisz i szumisz
Drzew i krzewów liśćmi
I kołysząc wietrzykiem
Szyszki strącasz
I na szczytach szalejesz

Co w szczebrzeszyńskiej trzcinie
Chrząszczami straszysz
Czy też w Szczyrku czy w Pszczynie
Szkrapy szczypawkami
Szczczą w Szczecinie

Kocham Cię
I szanuję
Bo mój jesteś
Rodzinny
Ojczysty
Chociażby czasami
I nazbyt soczysty

Mojej Klasie

Wyrastają
Wśród Dębów Stokrotki
I pośród Stokrotek Dęby
Dojrzewają

W Stokrotkach
I w Dębach
Wspomnienia złożone
Ukradkiem dobywane
I te wykrzyczane
Wyśpiewane
Te łzą okraszone
I radości kawałkiem
Starzeją się razem

Dla Stokrotek Dęby
Dla Dębów Stokrotki
I na zawsze już dla mnie

A gdy się pochylam
I gdy w niebo patrzę
W twarze im zaglądam
Tak po prostu
Pewnym będąc
Że dobro zobaczę

Zauroczyłem się
Świtem Twoich powiek
Ciężkim
Tęsknota nasyconym
Wspomnieniem

Zapatrzyłem się
Gdy w południe dłoni Twoich
Cierpiałem pragnienie
Z niedosytu ich skroplenia
Na mnie

Zasłuchałem się
W Twoich stóp zachód
Gdy po mokrym piasku westchnienia
Ślady zostawiły wyraźne
Olśnienia

Za kropką
Serca pustynia

Kiedy skończyłeś mówić
Ciężką kroplą
Milczenie spadło
Na piaski istnienia

Jeszcze chwila na szmer oddechów
Jak piasku ziaren
W tysięcznych klepsydrach Sahary
Jak kropel deszczu
Szepty stęsknione w bezbrzegach Kalahari

Nie dopowiedziałeś
Ile potrzeba ziaren
By kropla potu odparowała z ust piasku
Ile potrzeba kropli
By pył dał się zmyć z oczu wiatru
Nie dopowiedziałeś tylu zdań
Nie dokończyłeś tylu słów
Nie miałeś dla mnie czasu

A te chwile...
Chwile jak krople milczenia
I jak piasku ziarenka

Ulotne
Zamknięte
A nieskończone
I kropką
Na sercu pustyni
Zapisane

Do ławeczki gdzie samotność słów siada
Z tęsknoty westchnieniem
Zbliżam się

Ze wspomnień splatam marzeń zwoje
Tęsknot pożądań snów i pragnień

I serca mego cichym zamruczeniem
Do stóp korząc się
Zamieszczam ogłoszenie

Siedzące zamienię
Miejsce moje we wszechświecie
Na inne
Może być stojące
Przy Twojej ławeczce

Zachwiałem się
Choć dębowo stałem
I upadłem

Tuż obok
Trawy źdźbło
Wiernie stało
I się ostało

Choć w oczach moich dębowych
Zdało się chwilę wcześniej
Byle co takie
Barachło

Mniemania moje
O sobie
I o świecie
Dębowe nie trawiaste
Tak niewiele warte

Pisać
I głosić
Jak bracia moi
Głoszą i piszą
Poeci
Profeci

Skrzydłami mew miłości kreślić poematy
I orłów krzyk w nadziei wprzęgać przyzywanie
Wiarę odkrywać gdy dziecko kwili i gdy szłocha
starzec

Zapatrzony w okno świata
Na parapecie liścia
I paproci kwiatu
Szukałem

Sznurowałem
Dziurki zwątpienia
Jedną do drugiej
Do drugiej jedną
I znowu tam
I ponownie z powrotem

Poszukując słowem
Odnajdując wzrokiem
I cały dla Ciebie
Stając się dotykiem

Dni nasze zimne są
I tak podobne do siebie

Nawet pod tym samym słońcem
Do siebie ponuro podobne
Dni Twoje do moich dni
A moje do Twoich

W osamotnieniu swoim
Przez dziurkę od klucza
Ku sobie wychodzimy powoli

Myśli iskry nadajemy ku sobie
Postronnym chyba nazbyt swawolne
Nam życiodajne ciepłe
I źródłanie świetlne

Na całe szczęście
Obserwatorów
Tu nie wpuszczamy

Czoło swoje chylę Pani
Królowo poranków wyczerpanych

Przed wspomnieniem Twoim
I przed Twoim obrazem
Gdy stajesz przede mną
I gdy się we mnie stajesz
Gdy mimo oczu mych zamkniętych
Wchodzisz we mnie Pani
I wśród nawoływań westchnień
Pojawiasz się Pani w mnie

I w przewidzeniach nocnych
W sennych poruszeniach
W niewymownych marzeniach
W warkocze splecionych
Z namiastkami codziennych
Dotknięć rozmów i wzruszeń
Przechodzisz przeze mnie

Zapachem swoim
I swoim obrazem
Przesycasz mnie do reszty
Do reszty całonocnie
Całodziennie doszczętnie

Bo jesteś
Dla mnie
I na wskroś
We mnie
I przeze mnie jesteś
Pani

Przenikaniem
Przenikaniem
Po trzykroć
Jesteś
Przenikaniem
Pani

Ile jest w Tobie ze mnie
Ile jest we mnie z Ciebie

W historii
W życiu
Codziennie
Krok mój to Twój krok

Ile kroków jest do Ciebie ode mnie
Ile kroków od Ciebie jest do mnie

Podróży obrazy
Fizjonomie
Oblicza
Lub po prostu
Twarze

Białe
Czarne
Żółte
Czerwone
Jednakowo samotne
I do siebie podobne

W twarzach
Oczy współprzymknięte
I na współuchylone
Nozdrza rozszerzone
Usta co siebie pilnują
Milcząc życiu na przekór
I co w biegu je łapią
Otwarte na oścież

Z iskrą
I z popiołem
Twarze
Co umierają smutkiem
I uśmiechem żyjące

Niepokorne
I niepokonane

Wędrujące
Twarze

Spacerując wczoraj
Po kamieniach starówki
Mijałem obojętnie
Dwoje słów banalnych
Takich samych jak inne
Banalne

Dzisiaj gdy chodziłaś
Po kamieniach tych samych
Minęłaś obojętnie
Dwoje słów wulgarnych
Jak inne takich samych
Wulgarnych

Odwiedzamy te same miejsca
Starówki te same zwiedzamy
Po kamieniach tych samych
Domy okna i ludzie
I takie same twarze
A w twarzach słowa te same
Banalnie wulgarne
Lub wulgarnie banalne

I sami jesteśmy też tacy sami
Ja jestem taki sam dla Ciebie
I Ty jesteś taka sama dla mnie
I pocałunki nasze te same
Na całym Bożym świecie
Gdzie wszystko takie same
My jedyni – na szczęście
Dla siebie zawsze ci sami

Przez palce
Na słońce
Patrzę

Zza płotu tego
Widzę wszystko
Inaczej

Więc zimne drogi na twarzy
Zamieniam co prędeej
Na dłoni Twoich motyle
Na włosów wierzby płaczące
Ust szemrzące roztoki
I oddechu przędze

Gdy ślepnę Tobą
Pies szczekać przestaje
O czwartej nad ranem
I kran kapać
I nic już nie jest ważne

Powszedniości smak gorzki
Z ust wypływam
Wstaję
I komponuję
Pieśń dziękczynienia
Na nocy konanie

Wiosna
W swojej treści
Jest okrutnie banalna

Lecz wytęskniona jest
I wyglądana
Jak kochanka kochanka

Mówią mi
Szaleniec
Bo nie jem
Nie piję

Tańczę za westchnieniem
Gonię za spojrzeniem
Gram na harfie cytrze lirze
Myślą mową uczynieniem

Tak by
Broń Boże
Nie zgrzeszyć
Miłości brakiem
I Słowa zaniedbaniem

Moje oczy
Rozproszone po niebie
Zmrużeniem powiek nieba

Moje ręce
Rozpostarte w świecie
Szeroką dłonią świata

Nogi moje oddychają ziemią
Bo z prochu ziemi
Stworzone zostały
Tchnieniem

Młoda
Wiotka
Podziwiana
Na równi do śmierci dojrzała
Jak gruba i gderliwa

Pełna życia
Nie ta co do kochania zdolna
Lecz ta tylko co prawdziwie kocha

W niegościnnym mieście
Brudne gołębie
Ba brzydkim rynku
Natchnieniem poetów

To absurd
Lecz życie pełne jest absurdów

Odbijasz się blaskiem w moich oczach
Zakotwiczona słowem

Skomplikowana i prosta
Biało-czarno kolorowa

Poznana

Z niedoczytaną jeszcze stroną

Spalony od wyciągania dłoni
Z osmalonymi kikutami słów
Prześwietlony

U słońca stóp
Lęk zostawiłem
Nieuskrzydłony

Z szerokich przestrzeni twarzy pomarszczonych
Z odmętów źrenic rozbieganych
Z warg parkanów przygryzionych
Jak z książki czytałem

Szkoda tylko
Że co drugie słowo

SPIS TREŚCI

Zawędrowałem dzisiaj ot jakoś tak

Ciche puk-puk

Jak różę daję Ci kaktusa

Uśmiech mi posłałaś

Chciałbym mieć taki dom

Tata poszedł do nieba

Rozchybotana świeca w mroku

Gdy wszedłem

Sformalizowane słowa

Ot paradoks taki

Ja kłamię

Plotka

Szczęść Boże!

W Szarej Przystani

Rzeka pustych obietnic

Za tak niewiele

Za funt kłaków

Rozmarzonym wzrokiem

Jak lunatyk na krawędzi dachu

Proza życia długiego

Uśmiech

W kawałkach snów

Smutno mi

Przykrość

Tylko my

Źle

Źdźbłu trawy

Gdy głód

Marzenia

Spałem

Kasztany na dłoni
Dzisiaj nazbyt jest wczesnie
Na granicy poranka
Z uśmiechem
Mam Dom
Odkroił mi Pan Bóg
Wszyscy biegną
Dom
Diabeł ubrał słońce
Krzyczeń Bogu
Miłość
W mojej dłoni
Cichutko przychodzą
Czemuś taki głupi
Co szeleścisz i szumisz
Wyrastają

Zauroczyłem się

Za kropką

Do ławeczki gdzie samotność słów

Zachwiałem się

Pisać

Zapatrzony w okno świata

Czoło swoje chylę Pani

Dni nasze zimne są

Ile jest w Tobie ze mnie

Podróży obrazy

Spacerując wczoraj

Przez palce

Gdy ślepnę Tobą

Wiosna

Mówią mi

Moje oczy

Młoda

W niegościnnym mieście

Odbijasz się blaskiem w moich oczach

Spalony od wyciągania dłoni

Z szerokich przestrzeni twarzy



Spotkania